



● M. Vogel

*Krabat*, Figurentheater Wilde & Vogel, Grupa Coincidentia, Leipzig/Białystok (Niemcy, Polska/Germany, Poland)

wścigi rydwanów, potem coraz bardziej krwawe pojedynki metalowych gladiatorów z dziwnymi, ogromnymi (w skali małych postaci) metalowymi potworami. Wyniki walk są różne, z jakimś wilkopodobnym monstrem małej gladiator przegrywa, inny za to pokonuje ogromnego, ze dwadzieścia razy większego niż on słonia. A my, widzowie, możemy współdecydować, czy zwycięzca ma iść na śmierć.

Lecz Spartakus i inni gladiatorzy zbuntują się.

Historia przedstawiana jest prostymi, ale mocnymi wizualnymi znakami. Kilka sekwencji jest mistrzowsko zbudowanych. Przez scenę na pasie płótna wolno przeciągane są dziesiątki nieregularnie ułożonych stóp ludzkich (nieco nadnaturalnej wielkości). Wygląda to jak marsz ogromnej grupy zmęczonych osób. Ostatnie stopy zsuwają się z materiału, pozostając już na pisaku areny, jak wyczerpani, wycieńczeni gladiatorzy. Na koniec spektaklu stopy, jak sterty trupów, będą masowo wysypywane i układane w stos.

Gdy wojska rzymskie wyruszą do walki z gladiatorami, przez scenę przejadą kilkupoziomowe maszyny składające się z dziesiątek stóp, które maszerować będą w bezbłędnym wymuszonym szyku, dyktowanym tempem poruszania się tego wehikułu. Bitwy nie będzie na scenie, ale łatwo stworzyć metaforę klęski – te same zacinające się teraz maszyny bojowe i przeredzone i pogruchothane fragmenty stóp umieszczone w nich, poruszać się będą w odwrotnym kierunku sceny. Rzym przegrał to starcie.

Ledwie kilku aktorów (i dwoje operowych śpiewaków) wystarczy do zbudowania całego spektaklu. Fabuła opowieści jest bardzo prosta – i to nie ona fascynuje. Cały nacisk twórców położony jest na zmetaforyzowanie poszczególnych scen, które stają się oddzielnymi całościami. Jeden z fragmentów, który naj-

bardziej mi się podobał, to nocne obozowisko gladiatorów. Przez scenę przejeżdżają dziwne miniaturowe pojazdy, jakieś wózki – przypominające wózki kłoszardów czy zbieraczy złomu. Powstaje wrażenie, że to pokraczny tabor, skłcony z metalowych odpadów. Wózki rozstawiane są chaotycznie w różnych miejscach areny. Zapłonie na jednym z nich nawet małe ognisko, które długo stanowić będzie jedyne źródło światła. I tak w zawieszeniu, bardzo długo trwa ten obraz. Niewiele się dzieje. Ot, nocleg krańcowo zmęczonych ludzi. Światło wokół sceny stopniowo się rozjaśnia. Nadchodzi dzień. Wszystko to trwa parę minut. Ale ten sceniczny obraz bezbłędnie ukazuje zmęczenie, znużenie, beznadziejność.

Kilka równie ciekawych scen (choć o różnej dynamice), sprawia, że to przedstawienie jest tak intrygujące. Prosta opowieść prowadzi od jednej wizualnej kulminacji do kolejnej. To właśnie w tych zatrzymanych kadrach kryje się poetycka siła oddziaływania przedstawienia.

Krakowskiej widowni ogromnie podobał się spektakl Compagnie Philippe'a Genty'ego *Nieruchomi podróżnicy*. Twórcy przedstawienia: Philippe Genty i Mary Underwood wykazali się ogromną wyobraźnią. Na spektakl składają się dziesiątki scen, lecz ustalenie następstwa faktów, kolejności zdarzeń, jest trudne. Sceny przenikają się, jak sny, czasem emanują bezinteresownym pięknem obrazu (choćby stwarzając na całej scenie wielki obraz falującego morza), niekiedy stają się społeczną deklaracją (fragmenty o dyktacie pieniądza). Wszystkie sceny zapraszają do nieustannej onirycznej podróży.

Słowo „podróżnik” zawarte w tytule określa sytuację docierania do kolejnych światów, które niekoniecznie muszą być oswojone i nasze. Ośmioro aktorów przeżywa różnorakie przygody. Gdy nagle,

na naszych oczach, zwinie się ogromne morze, wypełniające całą scenę, wesłane przez jakąś tajemniczą siłę, zobaczymy pejzaż zbudowany z pakowego papieru. Kolor i faktura przypominają pejzaż amerykańskich pustyń i nagich skał. Tę pustynię przecinać będzie przejeżdżający przez nią amerykański tir. Gdy nagle w tę przestrzeń wkroczą aktorzy, wyglądają w niej jak olbrzymy. Wydawało się chwilę wcześniej, że mamy już ustaloną perspektywę wielkości rzeczy – a teraz wszystko zostaje zakwestionowane. Jak w historii Guliwera w krainie liliputów. Ale to nie koniec metamorfoz. W chwilę potem okaże się, że wszędzie w tym kraju rosną dzieci (małe laleczki). Potem „urosną” wieżowce – miasto pieniądza... Podróż wyobraźni trwa nieustannie.

Ale spektakl bywa ogromnie śmieszny, zaś humor jest najczęściej absurdalny, czasem nawet plebejski. Aktorzy będą tymi dziećmi strzelać z armaty, rzucać nimi do siebie; zbudują nawet dziwną maszynę, fabrykującą, czy raczej przerażającą, te dzieci...

Ale raz po raz przechodzić będziemy do tonu serio, czasem bardzo serio. Najbardziej przejmująca scena kończy przedstawienie. Aktorzy grupowo animując przed sobą może metrowej wielkości postać, biegną w miejscu wraz z nią ku widowni. Ta postać – średniowieczny rycerz w zbroi, zrzuca, czy raczej gubi, pancerz, spod niego wyłania się ubrany w marynarkę biznesmen. Wraz z podróżnikami biegnie wciąż, bez końca, prowadząc ich w nieustannym, szalonym biegu w jakąś nieznaną przyszłość. W końcu biznesmen przepoczwarza się w potworną postać: łysa czaszka z zachłannie otwartymi ustami, a zamiast ciała papierowa bezkształtna masa. Za chwilę liny rozciągną tę rozedrganą masę na całą szerokość sceny. Pochłonie ona wszystkich i wszystko. Z boku sceny wiać będzie potężny wiatr. Pęd powietrza ze sceny wypychać będzie resztki papieru, przedmiotów, materiałów. Zaśmiecona scena pozostanie bezludna, bezpłodna.

Koniec spektaklu to prawdziwy kataklizm. Trochę szkoda, że twórcy przestraszyli się własnej wizji. Na finał ustawiają z boku sceny figurkę nagiego małego dziecka. „Jednak jest nadzieja” – chcą mówić. Ale w porównaniu z bezosobowym kataklizmem, ten znak wydawał się jakiś pretensjonalny i naiwny. Nie zmienił jednak mojego dobrego zdania o przedstawieniu.